

Teatr bliski widzowi

Rozmowa z dyrektorem Teatru
im. Aleksandra Fredry w Gnieźnie
— Przemysławem Zielińskim

W przededniu Międzynarodowego Dnia Teatru rozmawiamy z Przemysławem Zielińskim, dyrektorem Teatru im. A. Fredry w Gnieźnie — Wielkopolskiej Sceny Objazdowej. Teatr ten dzisiaj, po uroczystej premierze wyjazdowej „Fedry” Racine’a w Turku, otrzymuje za swą dotychczasową pracę upowszechnieniową specjalną nagrodę CRZZ, Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz redakcji miesięcznika „Kultura i Życie”. Z dyrektorem Zielińskim, kierownikiem teatru właśnie objazdowego, legitymującego się znacznymi osiągnięciami frekwencyjnymi, popularyzatorskimi, rozmawiamy więc dzisiaj przede wszystkim o sprawach widowń, o związkach łączących scenę z widownią, o programie i repertuarze masowego teatru.

— Panie Dyrektorze, toczy się obecnie dyskusja zainaugurowana głosnymi artykułami Jana Gawlika o szansach i możliwościach artystycznych teatru terenowego. Jak Pan z pozycji dyrektora teatru objazdowego ocenia jego szansę, jakie widzi Pan dla niego perspektywy?

— Spotykam się dość często z poglądami, lansowanymi szczególnie przez krytyków i teatrologów, że obecnie wobec silnego rozwoju filmu i telewizji sens istnienia ma właściwie u nas tylko teatr laboratoryjny; taki teatr, który by pasjonował samych twórców i zajmował się wyłącznie poszukiwaniem nowych rzeczy w sztuce. Ludzie reprezentujący ten pogląd uważają, że „mały ekran” zaspokaja już zapotrzebowania kulturalne widzów wsi i małych miasteczek, podnosi ich poziom kulturalny, przyzwyczajają do dobrego aktorstwa i reżyserii. Osobiście nie zgadzam się z tym. Widzowie odczuwają potrzebę obcowania z żywym teatrem. Reprezentujący pogląd, że teatr jako sztuka, nie jest i nie może być laboratoryjny, tak jak malarstwo lub poezja. W moim przekonaniu teatr, to fuzja szerokiego kręgu społeczeństwa z tym, co się dzieje na scenie. Ileż jest na scenie i na widowni odnośnie do prostu wrażenie, że to, co urzeka nas w teatrze, polega właśnie na symbiozie z widzem. Na poczuciu spójności z nim, na wyczuwaniu jego reakcji.

Pyta pan o szansę tego teatru. Wydaje mi się, że szanse jego w terenie, w objędnie, są ogromne. Często przychodzi do nas na przedstawienia ludzie, którzy nigdy nie oglądali jeszcze np. fredrowskiej „Zemsty”. Nasza „Zemsta” w krótkim czasie eksploatacji od 15 października do marca doczekała się 135 przedstawień i ponad 70 tys. widzów. Nie była to tylko młodzież.

Zdarzały się całe spektakle wykupywane przez PGR-y, fabryki i kopalnie.

— Hasłem tegorocznego Dnia Teatru jest wezwanie: „Młodzież bliżej teatru”. Może zechce Pan powiedzieć, co teatr robi i co już zrobił dla zdobycia młodzieży. Domyślam się na podstawie własnych doświadczeń, że jest ona chyba podstawą waszej widowń?

— Teatr nasz rzeczywiście w ogromnej części opiera się na widowni młodzieżowej. Często gramy dla niej pozycje obowiązkowe, lekturowe, klasyczne. Mamy wśród grona ludzi, którzy decydują o repertuarze, przedstawicieli szkół. To oni zgłaszali nam zapotrzebowanie na „Zemstę”, „Śluby pańskie” i „Przepióreczkę”, na pozycje Szekspira i Moliere. Niedawno rozpisaliśmy ankietę, w której pytaliśmy m. in. widzów, co proponują, abyśmy grali. Zwyciężyli w tej ankiecie Szekspir i Fredro. Potwierdziło to więc naszą dotychczasową politykę repertuarową. Z pozycji współczesnych młodzież najbardziej zainteresowała sztuka Przeddzieckiego „Garść piasku”. Myślę, że zainteresuje ją też nasza pozycja milenijna „Stanisław i Bogumił” Marii Dąbrowskiej. Z młodzieżą szkolną mamy bliskie kontakty, często organizujemy z nią spotkania i dyskusje. Nasi aktorzy prowadzą również scenę dziecięco-młodzieżową, firmowaną przez nasze Towarzystwo Miłośników Teatru.

— Jeśli nie jest to jeszcze tajemnica, może zdradzi Pan na zakończenie najbliższe plany repertuarowe teatru?

— Po „Fedrze” gracie będziemy „Paryskiego Gavroche’a” Szczepana Gąssowskiego. Sztuka ta oparta jest na „Nedznikach” Wiktora Hugo. Potem, 26 czerwca wystawimy sztukę Marii Dąbrowskiej „Stanisław i Bogumił” pomyślaną jako widowisko plenerowe, które pokażemy w ramach obchodów Tysiąclecia w amfiteatrze gnieźnieńskim nad jeziorem. Sztuka ta interesuje nas z dwóch powodów. Dla jej aktualnego obecnie wydźwięku (sztuka przedstawia konflikt dwóch racji stanu biskupów Stanisława i Bogumiła) oraz z tych względów, że jest to pozycja gnieźnieńska; cały pierwszy akt jej rozgrywa się w Gnieźnie, z Wielkopolski pochodzi też jej główny bohater biskup Bogumił — szlachetny, antygonista zdradzieckiego biskupa Stanisława.

Wielce premier w tym sezonie nie przewidujemy. W lecie teatr nasz będzie remontowany i rozbudowany. O premierach przyszłego sezonu, niestety, nic pewnego nie mogę jeszcze powiedzieć.

Rozmawiał:
OLGIERD BŁĄZEWICZ

tygodnia

ODDZIAŁ GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Nr 230 27 III 1966 ROK VI

Prof. dr Gerard Labuda

Od pryncypatu do monarchii

Wielki historyk polski, Oswald Balzer, ogłaszając w roku 1919 swoje 3-tomowe, monumentalne dzieło „Królestwo Polskie: 1295—1370”, zaopatrzył je w następującą dedykację: „Na teraźniejszą odrodzenie Państwa Polskiego spisana ta pamięćka odnowienia dawnego Królestwa Polskiego”. Książce Balzera zawdzięczamy uświadomienie sobie dwu rzeczy: 1) dziejowej doniosłości odnowienia przez księcia wielkopolskiego, Przemysła II, godności króla polskiego w r. 1295, 2) zrozumienia, że nie chodziło wówczas o wznowienie tytułu króla „polskiego” w znaczeniu regionalnym, wielkopolskim (w ówczesnych źródłach nazwa: Polska oznaczała niejednokrotnie to samo, co Wielkopolska), lecz że było to rzeczywiście odrodzenie dawnego Królestwa Polskiego, powołanego do życia przez Bolesława Chrobrego w r. 1025 i przez Bolesława Śmiałego w r. 1076.

Koronacja Przemysła II na króla Polski zapoczątkowała długotrwały proces jednoczenia państwa polskiego w jego dawnych granicach z roku 1000. Wprawdzie sam Przemysł II zginął rok później z rąk wynajętych siepaczy brandenburskich, lecz zamysł jego był kontynuowany przez Władysława Łokietka i przez Kazimierza Wielkiego. Ówczesnym pokoleniom nie udało się jednak odzyskać dawnych granic państwowych. Śląsk przeszedł wówczas w ręce królów czeskich, Ziemia Lubuska w ręce margrabiów brandenburskich, a Pomorze Gdańskie, Ziemia Chełmińska i Prusy zostały opanowane przez Zakon Krzyżacki. Pomorze Zachodnie odgródzone od Wielkopolski ziemiami zajętymi przez Brandenburczyków również nie wróciło do dawnej wspólnoty. Plan jednoczenia tych prastarych ziem polskich został więc zrealizowany do-

HISTORYCY WOBEC TYSIĄCLECIA

W naszym cyklu historycznym, w którym prezentujemy poglądy poznańskich naukowców na najważniejsze wydarzenia tysiąclecia państwowości polskiej, zabiera dzisiaj głos prof. dr Gerard Labuda — kierownik Katedry Historii Powszechnej Średniowiecznej Uniwersytetu im. A. Mickiewicza.



Pieczęć majestatyczna Przemysła II
Fot. — K. Przychodzki

piero w obecnych czasach przez oparcie granicy zachodniej naszej odczynny na Odrze, Nysie i Bałtyku. Tym większa jednak waga wydarzenia z roku 1295.

Jednakże dzieło Balzera, spisujące prawie sto lat zmagania o pełne odrodzenie Królestwa Polskiego, zmagania uwiecznionych, jak wiemy, tylko połowicznym rezultatem, z tym większą siłą uprzytomniło głębie katastrofy politycznej, która spowodowała najpierw rozbięcie jedności państwa piastowskiego, a następnie utratę zachodnich dzielnic kraju na rzecz Niemiec i na rzecz Czech. (Razem z Czechami Śląsk najpierw dostał się pod panowanie niemieckich Luksemburgów, a następnie w r. 1526 pod panowanie austriackich Habsburgów, którym z kolei wydał tę ziemię król pruski Fryderyk II w r. 1740, dokonując w ten sposób pierwszego rozbioru ziem polskich).

Okres dziejów polskich, rozpoczynający z jednej strony rozpad jedności państwa piastowskiego w r. 1138, z drugiej zaś zwiastujący brzask zjednoczenia w r. 1295, uchodził wsku tek tego zarówno w historiografii, jak i w świadomości naszego społec-

Odrodzenie Królestwa Polskiego u schyłku XIII wieku

czeństwa za jedną z najciemniejszych kart naszych dziejów. Równać się z ním — poza okresem hitlerowskiej okupacji — może tylko okres „potopu” szwedzkiego w latach 1655/1657 i okres niewoli w latach 1795/1918. Syąpią się więc gromy na zasłużonego zdobywcę Pomorza, Bolesława Krzywoustego (1102—1138), że swoim testamentem z r. 1138 przygotował grunt do rozbięcia jedności państwa i ugotował drogę do utraty linii Odry, której przez całe swoje życie był on nieustraszoną obroną.

Bolesław Krzywousty został więc typowym kozłem ofiarnym za winy popełnione przez jego następców.

W tym naiwnym osądzie znalazło też swój wyraz przekonanie, że jednostkowy czyn wybitnej jednostki ma możliwość wytyczenia dziejów na wiele dziesiątków lat naprzód. Gdyby tak miało być naprawdę, byłaby to smutna prognoza dla naszej przyszłości i jeszcze smutniejsze świadectwo dla ludzkiego rozumu. Zadanie historii jako nauki nie polega na oskarżaniu i wyrokowaniu o czynach przeszłych pokoleń, ale na wyjaśnianiu ich działalności.

W istocie Bolesław Krzywousty był najdalej od burzenia jedności państwa, którą z takim trudem w walce z seniorem Zbigniewem wywalczył dla swego pokolenia. Ale tak, jak w r. 1102 nie potrafił zapobiec podziałowi państwa, występując przeciw obowiązującemu w ówczesnym prawie państwowym polskim normom dziedziczenia, tak samo nie mógł w r. 1138 nie liczyć się z faktem, że prócz najstarszego syna Władysława, miał jeszcze dwu pełnoletnich synów, Bolesława (Kędzierzawego) i Mieszka (Starego). Ulegając więc presji obyczaju prawnego, musiał podzielić państwo na trzy części; jedyne co w tej sprawie mógł zrobić, to odsunąć moment przydzielenia osobnych dzielnic dwu młodszych synów, Henrykowi (Sandomierskiemu) i Kazimierzowi (Sprawiedliwemu), pozostawiając ich pod opieką matki. Testament jego, ustanawiający: 1) dzielnicę pryncypacką w Małopolsce z siedzibą w Krakowie i 2) zapewniający pryncypat, tj. należną władzę w państwie najstarszemu w rodzie Piastów, (seniorowi) z prawem objęcia tej dzielnicy był jedyną racjonalną próbą wyjścia z tej nieodwracalnej sytuacji. Była jeszcze możliwość pozbawienia młodszych synów wyposażenia i pozostawienia ich na łasce — nielasce najstarszego. W ówczesnych warunkach oznaczało to jednak natychmiastowe rozpoczęcie wojny domowej, której nieuniknioną koniecznością było sprowadzenie obcej interwencji do kraju.

Eksport = współdziałanie

chęciach, skoro się okazało, że za wcześniej było na takie zobowiązanie. Wielkie Zakłady po prostu nie były dostatecznie przygotowane do takiej kooperacji, zwłaszcza że służyła ona eksporterowi. Jedyny efekt — sporo zamieszania i kwasów.

Lepszym jeszcze kwiatkiem obdarzyły poznańską „Centrę” — znanego eksportera baterii — Pewne Zakłady Chemiczne, obiecując zaopatrzyć ją w folię grafitową. Radości było wiele (folię sprowadzało się z zagranicy, za dolary) tylko że dość krótkotrwałe. Ledwie „Centra” nabrała rozpędu w przetwarzaniu nowego materiału, a już się okazało, że producent folii dostał zadyszki nie mogąc podołać zadaniu. Ponieważ Zakłady Chemiczne doszły do wniosku, że nie sprowadzą (także z winy pewnego kooperanta) dostawom. Rada nie rada „Centra” musiała znowu sięgnąć po import, ale opóźnień nikt już nie nadrobi.

Dobre chęci to piękna rzecz, lecz i one muszą być przemyślane, muszą mieć swoje organizacyjne podstawy i uzasadnienie. Gorzej wszakże, gdy nawet dobrych chęci brak. A tak chyba trzeba powiedzieć o innym przypadku z naszego województwa.

W Jarocinie i Pleszewie są dwie fabryki obrabiarek. Jedną z nich mogłaby przyjąć znacznie większe zamówienie eksportowe, gdyby druga chciała wykonać — a ma po temu warunki! — część robót wykonawczych. Przeszkód nie ma w gruncie rzeczy żadnych, poza jedną: nadzrzedne zjednoczenie nie kwapi się z rozwiązaniem tej kwestii.

To jest oczywiście niewielki bukiet chwastów z kooperacyjnego ogródka, które utrudniają niełatwą przecież produkcję eksportową. Trzeba je plenić — po wie każdy. Ale jak? To trudniejsza sprawa. Niejeden odbije wtedy pługem do sąsiada, proponując od niego zacynać.

A przecież jeśli pojmujemy gospodarkę jako jedną wielką całość wszystkie jej ogniwa są dla siebie nawzajem kooperantami. Bezpośrednio lub pośrednio, w mniejszym czy większym stopniu. Nie od rzeczy więc będzie przypomnieć stary aforyzm: szukasz przyczyn niepowodzeń, rozpoczni od siebie.

Z. M.

Miecz oprawny w kusz chędogi z fordymem włoskim czy szabłą wyszyńską w capę oprawną robotą węgierską — mógł miecznik poznański sprzed 400 laty zrobić sam w swoim warsztacie posługując się jeno pomocą czeladzi. Dziś prosta nawet produkcja w warsztacie ślusarskim wymaga licznych kontaktów i współdziałania jego właściciela z mistrzami różnych specjalności. Samochód zaś, radio czy pralka składają się z tylu rozmaitych części, że do ich wytwarzania potrzeba setek kooperujących z sobą fabryk. Wiele to służyła zasada współczesnej produkcji, wszakże niełatwa do zrealizowania.

Na pozór sprawa jest prosta: producent zamawia u kooperanta niezbędne elementy, uzgadnia właściwości techniczne, ustala — terminy dostaw i... I wtedy właśnie zaczynają się kłopoty. W praktyce bowiem okazuje się, że kooperant żyje na bakier z kalendarzem, że nie wszystkie dostarczone części odpowiadają zastrzeżonym w dokumentacji parametrom. Oczywiście, dostawca ma na to jakieś swoje usprawiedliwienie, ale fakt pozostaje faktem, przykrym najbardziej dla odbiorcy.

Pół biedy, jeśli to dotyczy produkcji dla kraju, gorzej gdy dla eksportu, ten bowiem oczekuje niezwyklej sumienności w przestrzeganiu warunków umów. Niezwykle, gdyż importerzy mają brzydki zwyczaj stawiania surowych wymagań. Chce zagraniczny przemysłowiec podpisać kontrakt wieloletni na dostawę narzędzi samochodowych — i masz babo placebo — stawa zastrzeżenie: płacę i wymagam, terminarza przesyłek nie wolno przekroczyć ani o jeden dzień; opóźnienie oznacza zerwanie umowy.

Pot rosi czoło na samo wspomnienie, bo przecież nigdy nie wiadomo co wywnia kooperanci. Nie im przychodzi zwykłe żążyć proszki od bólu głowy, gdy centrala handlu zagranicznego wisi u telefonu i ponagla: co u licha, z zamówieniem dla firmy XY?

Ostatecznie nie w tym rzecz kto te proszki będzie żążywał, lecz w tym by ich w ogóle nie trzeba było stosować. Łatwo to stwierdzić, że nader często kłopoty z kooperacją mają bardzo płytkie źródło i do tego z niezupełnie czystą wodą. Nazwać by to można brakiem koordynacji, nieprzemyślanymi decyzjami czy wreszcie niedomaganiem organizacyjnymi.

Oto mamy w Poznaniu Wielkie Zakłady, które kierując się dobrymi chęciami podjęły dostawy odlewów dla swojego Wielkiego Sąsiada. Cóż jednak po dobrych

Dokończenie na str. 2

Epopea Wału Pomorskiego

Nie pierwsza to batalistyczna książka Jerzego Korcza. Pisarz mieszkający i tworzący w Poznaniu, od dawna już pasjonuje się tematyką wojenną. Typowi dla literackich efektów tych zainteresowań są także bohaterowie: żołnierze Ludowego Wojska Polskiego. Powieściowe wątki debiutanckiego „Odcinka południowego” nabudowane zostały na dramatyzm (przewożonej też przez autora) operacji drezdeńskiej 2 armii WP. Akcja opo wiań składających się na ubiegłoroczny tomik „Miedzy swastyką a trójzębem”, rozgrywa się w chronologicznie powojennym już (lecz także wymagającym ofiar najwyższych) okresie walk obrońców demokracji w Polsce z bandami. Natomiast ostatnio wydany „Klucz do Berlina” — znany stałym Czytelnikom „Głosu” z fragmentów drukowanych w roku 1964 pod roboczym tytułem „Wał Pomorski” — przedstawia zmagania żołnierzy 1 armii WP: przełamanie owej północno-flankowej osłony fortyfikacyjnej strategicznego przedpoła Reichskanzlei.

Tym razem wszakże batalista nie ograniczył się do wyboru kolejnego epizodu szlaku bojowego. Przede wszystkim — jak podkreślił to już Eugeniusz Pauksta anonsując ukazanie się „Klucza do Berlina” — „Korczak w opowieść swą wprowadził prawdziwych ludzi. Ich relacje, przeżycia, bohaterstwo, stwarzając kanwę, na której prawdziwych strunach rozstrzelała się całościowa relacja, wsparta o dokument, ale nie operująca nim wyłącznie jako świadectwem. I to właśnie, że Korczak potrafił harmonijnie połączyć najbardziej wiarygodny, dokumentarny autentyk z dynamicznym, pełnym dramatów i pięć obrazem ludzkich przeżyć, stanowić będzie o niewątpliwym sukcesie tej książki”.

Sądzę jednak, że na ową nowatorską dla literata metodę zajmowania się tematyką historyczną, warto zwrócić uwagę nie tylko w kategoriach recenzyjnego podsumowania jednorazowego — zakończono pełnym sukcesem autorskim — eksperymentu. Powstały w efekcie tego eksperymentu gatunek literacki, nazwany przez autora „powieścią dokumentarną”, może mieć też wartość pewnego wzorca. Może to być propozycja warsztatowa, wychodząca naprzeciw olbrzymiemu zapotrzebowaniu masowego czytelnika na zbeletryzowany autentyk historyczny (czego dowodem nie w każdym przypadku zasłużona popularność każdego z tomików serii „Tygrysa”). Może w ten sposób, przy pomocy literatów, udało się uratować dla pamięci ogólnonarodowej autentycznych bohaterów i autentyczne fakty? Ten typ książki nadaje wreszcie produktowi literackiemu także pozaliterackie wartości dydaktyczno-poznawcze.

Czy to łatwa metoda? Sądzę, że nie. Korczak bowiem nałożył na siebie rygor rezygnacji z tak pojętego bądź co bądź przywileju wzbogacenia dramatyzmu historycznych wydarzeń fikcją wątków literackich. Zbudował akcję wyłącznie w oparciu o przekazy źródłowe, dotyczące autentycznych wydarzeń i autentycznych ludzi. Okazało się, że dzięki samej już beletryzującej obróbce tego źródłowego tworzywa o dużej wartości dla hi-

storyka, ponadto rekonstrukcyjne-mu dodaniu rekwizytów i tylko nader rzadkiem, oszczędzonym (uczciwie ujawnionemu w przypisach) uzupełniającemu retuszowi supozycji, powstała literacka monografia historycznych wydarzeń. Może ona pasjonować masowego czytelnika, przekazując mu jednocześnie ładunek faktograficznych realiów, starczający dla pracy popularno-naukowej na temat działań polskiej 1 armii na Wał Pomorskim.

Oto właśnie dlatego uważam za wskazane poczynić na marginesie jego książki kilka dyskusyjnych uwag natury historycznej.

Rozumiem, iż autor, stawiając sobie za cel przedstawienie walki polskich żołnierzy i nie chcąc rozsądzić ram swej powieści, musiał dokonać także selekcji niektórych wątków. Zwłaszcza jeśli nie wiązały się one bezpośrednio z tym zbiorowym bohaterem pozytywnym „Klucza do Berlina”, jakim jest polski związek operacyjny. Ale... jednocześnie negatywnym bohaterem zbiorowym uczynił himmlerowską Grupę Armii „Weichsel”, czyli zgrupowanie wyższego niż armia szczebla, obciążone też operacyjnym zadaniem przeciwstawienia się nie tylko działaniom 1 armii WP (zabezpieczającej swym przełamywaniem Wału Pomorskiego tylko północną flankę 1 Frontu Białoruskiego) ale całego wieloarmijnego zgrupowania marszałka Żukowa rozwijającego się na strategicznym kierunku berlińskim. Tak więc zasadniczy konflikt Himmler — Polacy wydaje się mimo wszystko skrócony. Nawet jeśli na skutek tego skrócenia ów konflikt wyostrza się, uatrakcyjnia i szczególnie raduje polskiego czytelnika — zarazem traci swą historyczną skalę.

Ściśle z tą uwagą koresponduje następna: dotycząca przedstawionego przez Korczaka rysunku osoby samego Himmlera, jako głównodowodzącego Grupy Armii „Weichsel”. Jestem zdania, że został on mimo wszystko dany czytelnikowi pod ryso-pis dostarczony przez generację niemiecką. To prawda — autor „Klucza do Berlina” rozbija legendę o „świątyni” generałach Wehrmachtu, którzy „na pewno zmieniliby sytuację” gdyby to im, a nie szefowi SS — dyktantowi i durniowi — dano dowództwo nad Grupą Armii „Weichsel”. Przykładem jest świetnie — moim zdaniem — przedstawiony Wenck. Lecz czy mimo to powieściowy Himmler nie jest durniem? Czy w związku z tym nie przegrywa w poważnym stopniu swej rundy stratega na skutek braku kondycji, nie zaś (jak moim zdaniem było) znokautowany przez radziecko-polskiego przeciwnika?

Wreszcie trzecia uwaga, dotycząca samego tytułu. Strategicznie rzecz biorąc Wał Pomorski nie był kluczem do Berlina. Raczej futryną. Był natomiast kluczem do Bałtyku. Co zresztą świetnie pokazuje w finalnych zdaniach powieści dokumentarnej także Korczak. Właśnie dlatego, że jest to piękna, wartościowa powieść dokumentarna należy żałować, iż nie została zaopatrzona bardziej adekwatnym tytułem.

*) Jerzy Korczak, „Klucz do Berlina” Wydawnictwo MON, 1966, s. 408, ilustr., nakład 15000 egz., cena 49 zł.

Z radością można skonstatować, iż przybywa nam nowa placówka wydawnicza, olsztyńskie „Pojezierze”. To już nie przypadkowe publikacje, ale skromny jeszcze liczebno, niemniej realny plan wydawniczy. Z kilku wydanych ostatnio pozycji na plan pierwszy należy wysunąć tom wspomnień zasłużonej, niezmordowanej działaczki dla sprawy mazurskiej, Emilii Sukertowej-Biedrawiny „Dawno a niedawno”. Związana, zresztą przez przy-padek, ze sprawą mazurską na kilka już lat przed pierwszą wojną, tej sprawie autorka poświęciła bez reszty całe swe życie i dziś jeszcze wydajnie pracując naukowo w Olsztynie nad ukochaną swoją tematyką. Wspomnienia Biedrawiny mają stąd szczególną wagę, jako opowieść bezpośredniego świadka całej hekatombi ludu mazurskiego, od szykan jeszcze przedwojennych, poprzez tragiczny plebiscyt, po jej działalność w Działdowie, skąd przez rzucaną druki polskie przez zieloną granicę, po okres międzywojenny, okupacyjny i trudny, ale radosne lata budowania polskości na wroconych jej ziemiach po dzień dzisiejszy. W płaszczyźnie dokumentarnej przybyła nam pozycja, unikalna, a zarazem jak te wspomnienia są pisane naprawdę gorącym sercem.

Swego rodzaju rewelacją pamiętnikarską będzie praca Piotra Zaremby, wydana przez Wydawnictwo „Poznańskie” „Pierwszy szczebiński rok 1945”. Autor od ostatnich dni kwietnia pełnił

Eugeniusz Pauksta

Pamiętniki i relacje

funkcję prezydenta Szczecina przez lat pięć, niemniej najważniejszy, najbardziej pasjonujący jest ten pierwszy okres. Należy pamiętać o specyficznej sytuacji Szczecina w pierwszych miesiącach powojennych, o tym, że był on przedmiotem zabiegów ze strony zachodnich aliantów na rzecz Niemiec, że kilkakrotnie władze

Z książką na ty

polskie obejmowały i opuszczały znów Szczecin. W tej sytuacji, w sytuacji miasta, do którego przez niezamkniętą jeszcze granicę masowo napływały potoki powracających Niemców, początki polskiej administracji były nie tylko improwizacją ale i niestychaniem ryzykowną pracą. Jak ta praca wyglądała, w jakich prowizorycznych warunkach się odbywała, a jak jednocześnie rosły sukcesy i z dnia na dzień następowało polskością oblicze miasta, mówi książka Piotra Zaremby.

W MON-ie otrzymaliśmy nowy tom wspomnień Jerzego Fonkiewicza (autora głośnych „Pierwszych pistoletów”) pt. „Pawiak-Paryż”. Są to dalsze dzieło autora od momentu jego aresztowania w lipcu 1944 aż po zameldowanie w Polskiej Misji Wojskowej w Paryżu równo rok później. A

tymczasem przejścia więzienne, wędrowki z obozu do obozu, wyzwolenie, znów obozy, tym razem uchodzące i wreszcie tylko po lyknieniu Paryża powrót do kraju dla objęcia tam ważnej pracy. Jego opowieść przypomina żywy, błyskawicznie zmieniający się w scenarii film tamtego czasu i tamtych wydarzeń.

W „Ossolineum” ukazało się nowe wydanie rozchwytywanej książki, mianowicie „Żywotów Cezarów” Gajusa Swetoniusza Tranquillusa (przekład i komentarze J. Niemirskiej-Pliszczynskiej). Wysocki urzędnik cesarski w I w. n. e. Swetoniusz miał bezpośredni dostęp do najtajniejszych materiałów. W oparciu o nie mógł napisać jedyną w tym rodzaju opowieść — biografię dwunastu cesarzy rzymskich, pokazując ich oficjalnie i prywatnie.

Zamknąć pragnę dzisiejszy przegląd wskazaniem na jeszcze jedną pozycję olsztyńską „Pojezierza”. Oto konsekwentnie ukazał się tom V „Rocznika Olsztyńskiego”, periodyku, zamykającego w sobie pokątną ilość rozpraw i materiałów związanych zwłaszcza z przeszłością regionu. Miscelanea, recenzje i kroniki uzupełniają ten potężny, z górą 400-stronicowy tom, zbliżający jeszcze bardziej i tak bliska nam krajinę warmińsko-mazurską.



EX LIBRIS



Od tygodnia w Pałacu Kultury czynna jest wystawa ekslibrysów o motywach muzycznych zorganizowana przez Towarzystwo Muzyczne im. H. Wieniawskiego i Pałac Kultury ze zbiorów znanego kolekcjonera poznańskiego — Feliksa Wagnera. Wystawy tej nie możemy szczegółowo omówić, gdyż autorzy jej ani nie podpisali poszczególnych prac, ani też nie oferowali nam katalogu — jedynego źródła do rozszyfrowania autorstwa poszczególnych prac. Obok reprodukcji mamy dwa zdjęcia z ekspozycji na tej wystawie ekslibrysów. Naszemu fotoreporterowi udało się ustalić, że górną jest pracą Zbigniewa Prońskiego z 1927 r. zatytułowaną „Gitarą”, a obok jest ekslibrys Jana Olejniczaka z 1966 roku. [ob]

Od pryncypatu do monarchii

Dokończenie ze str. 1

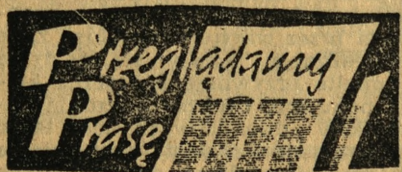
szczeblu. Taką instytucją miał być pryncypat. Ale, jak wiadomo, instytucja ta nie zdała egzaminu. Ostatecznie pogrzebała ją śmierć Leszka Białego pod Gąsawą (1227), który był ostatnim pryncypsem polskim na tro nie krakowskim.

W ówczesnych warunkach jedność władzy zapewniała „królestwo”, stanowiące nadzwyczajną instytucję nad poszczególnymi księstwami. Ale powołanie do życia tej instytucji a przede wszystkim funkcjonowanie jej było zależne od dwu czynników: 1) od zgody cesarza i papieża na koronację, 2) od uznania władzy króla wewnątrz kraju przez poszczególnych książąt. Na to przez długi czas ani w XII ani w XIII wieku nie było stosownych warunków.

Dopiero osłabienie cesarstwa po r. 1250 i życzliwość papieża zainteresowanego w osłabianiu cesarstwa stworzyło taką możliwość u schyłku XIII wieku. Skorzystał z niej Przemysław II powołując do życia „królestwo” z siedzibą w Poznaniu. Początkowo było to tylko królestwo „wielkopolsko-pomorskie”, gdyż faktyczna władza Przemysła II obejmowała tylko Wielkopolskę i Pomorze Gdańskie. O uznanie monarchii w całym kraju trzeba dopiero było walczyć.

Trudna więc była polska droga od pryncypatu do monarchii. Mimo skromnych początków tej drugiej monarchii polskiej, czyn Przemysła II miał pod każdym względem charakter przełomowy, który powinien nam zapewnić poczesne miejsce w Ty siącleciu Państwa Polskiego.

Prof. dr. GERARD LABUDA



PORTRET KARDYNAŁA

Fakty, związane z niefortunnym ordżiem biskupów polskich do niemieckich sprawiły, że osoba kardynała Stefana Wyszyńskiego stała się przedmiotem ostrej krytyki publicznej. „Polityka” w obszernym szkicu Jerzego Burzyńskiego przedstawia poglądy polityczne kardynała.

Autor zwraca uwagę, że do niedawna episkopat, któremu przewodniczył kardynał, kwestionował politykę Państwa Ludowego, lub przynajmniej, niektóre jej przejawy — na płaszczyźnie wewnętrznej: ordżie do biskupów niemieckich, było wyjściem poza tę praktykę — zakwestionowane w nim kierunki polityki zagranicznej państwa, w sprawach, najbardziej żywotnych dla wszystkich Polaków. Burzyński, popierając swe wywody z licznymi cytatami z pism i przemówień kardynała, przedstawia, jakimi sposobami (nieraz wbrew

poglądom Watykanu), kardynał nie chce się pogodzić z miejscem kościoła, które wyznacza mu Konstytucja Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

PRZED WYBÓREM

Inny aspekt stosunków między Państwem a Kościołem — po wyostrowaniu ordżia do biskupów niemieckich i po ogłoszeniu listu pasterskiego z 10 lutego — podnosi w artykule redakcyjnym „Kultura”:

„Kościoł — czytamy — stoi przed wyborem. Chcąc znaleźć trwałe miejsce w życiu polskim, musi przełamać swą obojętność wobec wszystkiego co tu się robi, że szkoła i kościół są w sobie. Powtarzanie: „My jesteśmy za Odrą i Nysą”, nie oznacza, jeśli nie towarzyszy mu konkretna działalność, budowanie jedności konkretnego narodu, odnajdywanie się w rzezywistości politycznej naszego kraju, ta kim jakim on jest — z określonymi sojusznymi, z określonymi ustrojami społecznymi. A przecież tyle w tym kraju jest do zrobienia! Tyje sprawy się tu dzieje prócz pielgrzymek, manifestacji na wachach czy stołchowskich i odpustów. Najbliższe dwa miesiące, tonacje kościelnych uroczystości milenijnych, będą zapewne dobrym sprawdzianem, jakie tendencje w tonie kierownictwa kościoła polskiego zwyciężają: tendencje dalszego zaostrowania konfliktu z państwem, czy też poczucie rzeczywistości i odpowiedzialności.

„AKCJA PAWIAK” — SZUKANIE PRAWDY

Pod tym tytułem „Kultura” wraca do sprawy, którą już kiedyś poru-

szała. Oto w nocy z 19/20 lipca 1944 roku więźniowie III Oddziału Pawiaka podjęli nieudaną próbę buntu, próbę, która zaskoczyła wszystkich znanych uczestników konspiracji więziennej. W jej wyniku wszyscy prawie więźniowie III Oddziału (ponad 200 mężczyzn) zostali represyjnie rozstrzelani; tej samej nocy na cmentarzu powązkowskim został rozbity i zlikwidowany doświadczony oddział Kedywu „Osjan”. Wiadomo tylko, że akcja odbicia Pawiaka była organizowana, że została jednak odwołana, a wiadomość ta nie dotarła na III Oddział, ani do oddziału „Osjana”.

Rozpoczynając druk wypowiedzi osób najlepiej w tej sprawie zorientowanych (w bieżącym numerze Bronisława Anleina i dr Felicjana Lotha), „Kultura” chce przytoczyć się do wyjaśnienia spraw czy ciemnych lub zaciemnionych, a tym samym pomóc w rekonstruowaniu prawdziwego obrazu tego wyjątkowo tragicznego rozdziału walki podziemnej.

OSWAJANIE Z ODWETEM

„Prawo i Życie” przynosi kilka materiałów poświęconych sprawom Niemiec. Kazimierz Kąkol w artykule „Oswajanie z odwetem” charakteryzuje zachodzące w Niemczech zachodnich procesy politycznych przeobrażeń, procesy, które muszą skłaniać do czujnej refleksji.

WIELKIE SPRAWY MAŁEGO EKSPORTU

W tak zatytułowanym cyklu Mirosław Dyner na łamach „Życia Gospodarczego” w artykule „Kariera działania” zastanawia się nad tym, co utrudnia eksport artykułów konsumpcyjnych pochodzenia przemysłowego.

Mimo szybkiego tempa wzrostu tego rodzaju eksportu, wciąż jeszcze pozostają

spore możliwości sięgnięcia po nowe rynki zbytu, zwłaszcza w krajach Europy zachodniej i uprzemysłowionych krajach zamorskich. Oprócz zabiegów handlowych potrzebne jest przede wszystkim zaopatrzenie wytwórni artykułów konsumpcyjnych pochodzenia przemysłowego w odpowiednie surowce oraz ukształtowanie kosztów produkcji, tak by zapewniały odpowiednią rentowność eksportu.

„Polityka” śladem sesji Komitetu Badań Rejonów Uprzemysłowionych Polskiej Akademii Nauk, która w listopadzie 1965 r. rozpatrywała w Koninie formy wykorzystania czasu wolnego w rejonie silnie uprzemysłowanym, drukuje na ten temat artykuł Jerzego Malysza — „Konsumpcja czasu wolnego”. W „Gazecie Chłopskiej” Mieczysław Pochwicki przedstawił „Marzenia dziewcząt”, opierając się na wypowiedziach prawie 500 uczniów szkół przysposobienia rolniczego w powiecie konińskim; charakterystyczne, że ponad połowa dziewcząt opowiadała się za dalszym kształceniem się w zawodach rolniczych. Bogusław Reichart toczy na łamach „Tygodnika Demokratycznego”, „Targi... Targi”, postulując na marginesie ostatnich Targów Krajowych w Poznaniu dalszy rozwój kontaktów bezpośrednich handlu z przemysłem. Jan Paweł Gawlik zabiera w „Życiu Literackim” głos „W sprawie kawiarni”, występując przeciwko czynieniu z nich elitarnych (wysoka kategoria, wysokie ceny) miejsc spędzania wolnego czasu.

LEKTOR